

**Tomasz Marcin
DUDZIŃSKI**

OKIEM SMOKA

 FANTASTYKA W KRZYWYM ZWIERCIADLE 

zeszyt 5

Tomasz Marcin Dudziński
„OKIEM SMOKA”

Copyright © by Tomasz Marcin Dudziński
All rights reserved

Wydanie I

Gliwice 2009

Akwarela & projekt okładki: Tomasz Marcin Dudziński

Tomasz Marcin DUDZIŃSKI



OKIEM SMOKA

NAJBARDZIEJ NIEZWYKŁE STWORZENIE W CHORASANIE

Dostałem zlecenie, które potraktowałem jako punkt honoru: odnaleźć najbardziej niezwykle stworzenie w Chorasanie. Inni adepci sztuk magicznych rozpełzli się jak robactwo po wzgórzach i krzakach opasujących naszą krainę, ja natomiast udałem się do centrum miasta. Zapytacie pewnie, dlaczego? A tak sobie, z lenistwa. Po co mam odkrywać dawno odkryte? Wystarczy spytać u źródła... Szkoda tylko, że magiczna kula nie wchodziła w rachubę, bo sieć czaroprzestrzenna to prawdziwa skarbnica wiedzy, ale tylko sprawdzonej. Natomiast przyroda Chorasanu była jeszcze niesklasyfikowana, choć bogato opisywana w literaturze ezoterycznej.

Dochodziłem już do ciemnej bramy starej kamienicy czynszowej niedaleko dworca głównego ChLD (Chorasańskie Loty Dywanami – przyp. red.), gdy nagle usłyszałem za sobą skrzek:

- Wesprzyj biedaka, szlachetny panie.

Już się zamachnąłem moim służbowym kosturem, gdy kątem oka spostrzegłem, że pytający był o trzy głowy wyższy ode mnie. Odwróciłem się i zdębiałem. Przede mną stał smok, ale w tym nie było nic nadzwyczajnego, natomiast ten wyróżniał się tym, że był mikrej postury, miał szaro-ziemistą cerę i w ogóle był jakiś taki ... wyskubany i nastroszony. Hmmm. Chyba mi brakło słów....

- Szlachetny panie, mistrzuniu o wielki – ciągnął smok. – Poratuj trojakiem na łyce „napalmu”...

W życiu nie widziałem takiego smoczego mizeraka, toteż rozbawiony sytuacją postanowiłem udawać zafrasowanego.

- Taaak? A cóż to trapi twoje błoniaste skrzydła, przyjacielu? – postarałem się nawet o uśmiech.

- Ach, panie czarowny, mistrzuniu mój jedyny! – biadolił smok. – W gardle susza, a jak susza, to nijak ogniem ziać nie można!

- I to jest takie straszne?

- Och, panie czarodziejski, dla smoka to prawdziwa tragedia! – smok stał przede mną przygarbiony i co chwile nieśmiało drapał się – rzekłbym – po jajkach.



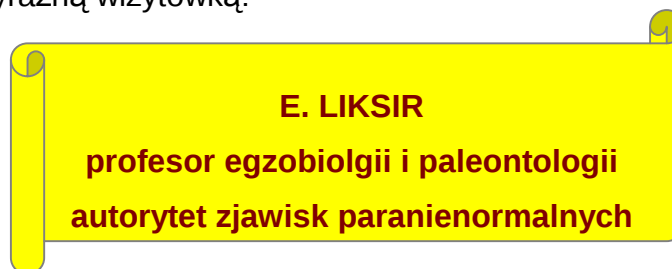
- Rozumiem – ciągnąłem dalej rozbawiony – że butelka „Napalm Beer” poprawiłaby ci humor?

- Ależ mistrzu! – podskoczył smok. – Twoja hojność będzie wychwalana aż po wieczór!

Pomyślałem, że chyba był w tym palec Opatrzności, bo pół pacierza przed przybyciem pod kamienicę znalazłem na ulicy srebrnego grennara.

- Naści całego grennara! Starczy na cztery butelki! – smok pochwycił zręcznie niedużą monetę i bijąc pokłony pognął do osiedlowego marketu sieci „Trylobit”.

- Dzięki ci, o czarowny, panie, mistrzuniu! – dobiegło mnie z oddali. Po zadziwiająco wyraźnym efekcie Dopplera, byłem pewien, że smok gnał do sklepu ze wszystkich znanych (i nieznanych) sobie tylko sił. Z uśmiechem wstąpiłem w przytulny mrok bramy, by po dwóch piętrach zmagać ze stromymi, sekwojowymi schodami stanąć pod drzwiami z wyraźną wizytówką:



Zastukałem kołatką w kształcie kwiatu paproci, by po chwili ścisnąć rękę pulchniutkiego, starszego człowieczka z rozwianą siwą grzywą.

- Profesorze – wymownie spojrzałem na jego sterczące włosy. – Wybuch w laboratorium?

- Neeee.... – uśmiechnął się naukowiec. – Golarka mi wpadła do umywalki i odruchowo chciałem ją wyciągnąć.

- Wstrząsające przeżycie, prawda? – mrugnąłem okiem i zrzuciłem trzewiki. Weszliśmy do pokoju, albo czegoś, co powinno być pokojem. Zresztą całe mieszkanie profesora od dwudziestu lat było zawałone próbkami, preparatami i innego tego typu truchłami, więc nawet stara Strzyga Mabel, która była u profesora gosposią, nie ruszała niczego, co leżało na talerzu w kuchni. Doskonale ją rozumiałem – zbyt łatwo było się pomylić.



- Co cię sprowadza w okresie letniej kanikuły, chłopcze? – profesor ciężko klapnął w nadpruty zębem czasu fotel. Cóż było robić, klapnąłem bez zaproszenia i ja.

- Mistrz zadał zadanie: znaleźć najdziwniejsze stworzenie Chorasanu.

- He, osobliwe! – roześmiał się profesor. – Wszystkie są na swój sposób osobliwe. Obojętne chyba, czy opiszesz Powój McConrada, roślinę mięsożerną, która jest w stanie przetrwać dorosłego jednorożca, czy Zwidka Pospolitego, jaszczurkę – telepatę, czy Smoka Sylfijskiego...

- Smoka Syfo... co?

- Smok Sylfijski, albo, jak kto woli, Smok Niemy. – uczony był niezaprzeczalnie w swoim żywiole. – Jest dużo mniejszy od pozostałych gatunków, ma barwę szarą, dzięki temu prawie niewidoczna jest jego łuska. Inne smoki mówią o nich „nasi mniejsi bracia”. Nie są zbyt rozmowne, stąd też ich druga nazwa; co charakterystyczne – większość osobników posiada szczątkowe owłosienie tu i ówdzie...

- Aha! – coś zaczęło mi świtać. – I lubią „Napalm Beer”.

- Ha! – dłonie profesora pacnęły o poręcz fotela. – Bazyli! Spotkałeś mojego sąsiada?

- Przysięgłbym, że wcale nie był aż takim milczkiem, jak pan go opisał...

- Eeee! Ten to gaduła. Mieszka u nas w oficynie. – tym razem profesor mrugnął do mnie porozumiewawczo. – Chyba nie dałeś mu się naciąć na trojaka?

- Na trojaka? Nie! – odparłem ni to oburzony, choć było to zgodne z prawdą. Smok mnie naciął na grennara.

- Widzisz – uczony wstał z fotela i ze zręcznością lekkoatlety przeskoczył stertę starych ksiąg przyrodniczych. – Bazyli jest odpowiedzią na twoje problemy.

- Przecież to pijaczyna....!

- Och, od razu pijaczyna! – nadał się mój rozmówca. – Jego problem to coś więcej niż zwykły problem alkoholowy.

- ???

- Jakbyś się czuł nie mogąc się wysrać od dwóch księżyców? I to jest odpowiedź na twoje zadanie...

To rzekłszy, staruszek zniknął w (chyba) kuchni.



- Mam opisać Smoka Syfilitycznego?

- Sylfijskiego! – dobiegło mnie z kuchni. Byłem tego już pewien po stukających dźwięku szklanek. – Nie.

Po chwili pojawił się profesor z dwoma szklankami musztardówkami wypełnionymi bezbarwnym, lekko mętnym płynem oraz kuwetą wypełnioną szarozieloną wodą z wystającym zeń obłym, ciemnozielonym kształtem. Cały ten zestaw wylądował na stole. Gdy staruszek podsuwał sobie fotel, dyskretnie nachyliłem się nad jedną ze szklanek i powąchałem zawartość. Tak jak myślałem – stare akademickie przyzwyczajenia pozostały. Na uniwersytecie naukowcy – i studenci czasami też – pili ze wszystkiego, na co akurat wypadło: zlewki laboratoryjnych, kociołka do gotowania mikstur czarownych, słoików na preparaty, lecz najpopularniejsze były bardzo charakterystyczne, kubelkowate szklanki po musztardzie. I tak jak podczas studiów, pewien byłem, że w mojej szklanicy jest czysty samogon. Brakowało tylko butelki, ale może staruszek już miał resztówkę... „Zdrowie Bazyla!” – pomyślałem i chlapnąłem całą zawartość musztardówki. Zgodnie z akademickim zwyczajem puste naczynie postawiłem obok nogi od stołu, na podłodze.

- Eeeech, tylko głupoty ci w głowie. – zganił mnie uczony. – Smoka Sylfijskiego nie masz co opisywać. Gdybyś tylko nie spał na moich wykładach...!

Tymczasem alkohol zaczynał działać, choć przyznaję, że był chyba źle precedzony. Gdzieś między zębami utkwiała mi pestka.

- Jak zauważyłeś, Bazyli miał tu-i-ówdzie odrobinę owłosienia. Jak zauważyłeś, jego gruczoł napalmowy był wyschnięty, przez co nie mógł on ziać ogniem – to dwa. Jak zapewne zauważyłeś, drapał się po owłosieniu łonowym – to trzy. I oto dochodzimy do najdziwniejszego stworzenia w Chorasanie...

- ... do pijanego smoka? – wypaliłem radośnie.

- Choróbca, jak ty u mnie zdałeś? – zdziwił się uczony. Tymczasem ja złapałem ochoczo za ogórka w kuwecie. – Aha, jednak coś podejrzewasz. Widzisz, to jest wypluwka Smoka Szarego.

Zrobiło mi się trochę nieswojo. Z delikatnym namaszcczeniem odłożyłem „zagrychę” do kuwety.



- Spokojnie – ciągnął profesor. – Jak pamiętasz, smoki nie wydalają kału. Pomyśl, jakbyś wyglądał, gdyby sześciotonowy, przelatujący nad tobą smok narobił ci na głowę? Tak więc to, czego smok nie strawi, oddaje w postaci wypluwek – zupełnie jak sowa. W przeciwieństwie jednak do sowy, podczas wydalania wypluwka podrażnia gruczoł napalmowy, przez co – po pierwsze – przelatujący, ziejący ogniem smok jest bardzo atrakcyjnym widowiskiem, po drugie: wypluwka ulega spaleni i nic nam na głowy nie spada...

- Rewelacyjnie, profesorze. – uśmiechnąłem się kwaśno wycierając ręce w mój czarowniczy płaszcz. – Mam opisać srającego smoka?

- Eeeech! Chyba cię taki smok obesrał! Słuchaj teraz tego. W szklance przede mną pływa około dwudziestu małych żuczków z bardzo długimi nogami. To Coitus Interruptus w stadium dorosłym. Pasożyt. Najpierw, jako jajeczka, te sprytnie owady siedzą w wypluwce Smoka Sylfijskiego. Wypluwka – dzięki wysuszeniu gruczołu napalmowego przez działanie dorosłych osobników pasożyta – spada na ziemię. Tam gnieje, natomiast z jajeczka wykuwają się larwy z długim, twardym noskiem. Larwy mam w preparacie numer dwa.... tylko gdzie on jest?... przysięgłbym, że przyniosłem dwie szklanki z preparatami?....

- Ależ skąd! – bąknąłem nieco gardłowo, bo poczułem, że żołądek podchodzi mi powoli do gardła.

- Mniejsza z tym. – mruknął staruszek i dalej popadał w naukowy amok. – Larwy przypominają dobrze nam znanego tęgoryjca (rodzaj pasożyta, wyst. głównie w Afryce – przyp. red.), z tą różnicą, że atakuje on tylko młode parzystokopytne. Kiedy np. taka owieczka stanie na nim, on wwierca się w kopyto i poprzez nogi dostaje się do krwiobiegu. Następnie żyłami, aż do oka, gdzie siedzi i czeka, aż owieczkę zaatakuje smok. Chyba przyniosę ci wody, bo aż tak zielonego, to widziałem cię tylko podczas sekcji latającej jaszczurki.

Uczony powstał.

- Nie trzeba – powstrzymałem profesora ruchem dłoni. – Proszę kontynuować...

- Jak chcesz. – profesor przysiadł znowu na poręczu fotela. – W przeciwieństwie do tasiemca – mózgojada, ten pasożyt, a właściwie jego stadium larwalne, nie zabija żywiciela i nie mnoży się wewnątrz owczej głowy. Czekają tylko, aż biedną owieczkę



pożre jakiś smok. Oczywiście najlepiej dla niego byłoby gdyby to był Smok Sylfijski, ale o tym za chwilę. Wiesz, dlaczego siedzi w oku?

- Blurp! – odbiło mi się ohydnie. Przysiągłbym, że pestka między moimi zębami się poruszyła.

- Na zdrowie – uśmiechnął się uczony, lekko zaskoczony moim nietypowym zachowaniem. – Otóż i nie wprost dałeś mi i sobie odpowiedź. Oko jako część miękka błyskawicznie jest trawiona w smoczym żołądku. Uwolnione larwy - tęgoryjce przenikają poprzez gruczoły łojowe do jedyne miejsce, gdzie mogą się bezpiecznie paść i mnożyć – do owłosienia łonowego. I tam też przyjmują postać dorosłą. Dlatego inne smoki nie cierpią na tę chorobę, bo jak pamiętasz tylko Smoki Nieme posiadają kępki włosów.

- A czy larwy nie mogą ulec strawieniu? – zapytałem pełen nadziei.

- Niestety, ich pancerz to organiczna kombinacja chityny, tytanu i duralu. Twarda jak ruska rakietka! Za cholerę nie można jej ruszyć kwasami żołądkowymi, nawet smoczymi!

- A więc te pasożyty to... - nie chciałem za Chińskiego Boga dokończyć tego zdania z obawy przed narastającą we mnie potrzebą puszczenia pawia.

- ... zwykle mendy. – dokończył profesor z uśmiechem. – Dorosłe osobniki gryząc żywiciela wstrzykują mu jad osuszający gruczoły napalmowe, stąd też u zarażonych smoków takie potężne uczucie kaca. Ot i cała tajemnica Bazyla! Biedak po prostu ze wstydu, że nie może spalić swoich odchodów, nie może się wysrać...

- Myśli pan – zapytałem z nadzieją w głosie – że solidna porcja piwa napalmowego mu pomoże?

- Eeeeeee! – profesor machnął ręką. – Prędszej żołądek sobie chłop zniszczy. To zwykła bryna z aromatem napalmu...

- A może da się to wytrzebić czarami?

- Ten ich pancerz odbija wszelkie złe uroki lepiej niż Lustro Czarownicy.... Uwierz mi!

Po tej całej tyradzie bardzo szybko pożegnałem profesora, dziękując mu oczywiście za ten wyczerpujący wykład. Był lekko zdziwiony moim nagłym pośpiechem, bo w końcu znał już mnie tyle lat.... Jedno mu musiałem przyznać. W całym Chorasanie



nie było równie interesujących istot, jak Smocze Wszy Łonowe. Tym bardziej, że uczucie swędzenia –wiecie-w-jakim-miejsu narastało we mnie coraz bardziej.

Prosto z bramy czynszowej kamienicy, gdzie mieszkał profesor, pognąłem do marketu sieci „Trylobit”. Kupiłem całą skrzynkę „Napalm Beer”, za całego złotego dukata. Zaszkodzić nie zaszkodzi, ale może pomoże!



SESJA

„Mała dziewczynka o imieniu Zuzia wstała ze swojego łóżeczka. Poprawiła kołderkę, ułożyła na poduszce lalkę o blond lokach i siadła na stołeczku przed lustrem. Rozczesała włosy, które spięła gumką w kucyki, założyła swoją ulubioną sukieneczkę, którą dzień wcześniej wyprasowała jej mamusia i poszła do kuchni.”

„Mama bardzo ucieszyła się widząc, że jej ukochana córeczka ma taki apetyt. Dziewczynka niewiele się namyślając połknęła barana, po czym ohydnie się jej odbiło.”

- To chyba tobie odbiło. – mruknął Thorn uderzając przyjaciela wielkim zwojem papirusu w głowę. – To jest malutka dziewczynka! Rusz tym swoim zakutym łbem i wyjaśnij nam wszystkim, jak ludzkie szczenię mogło połknąć barana?
- No dobra, daj mi jeszcze jedną szansę. – przyznał obity ze wstydem.

„Mama bardzo ucieszyła się widząc, że jej ukochana córeczka ma taki apetyt. Dziewczynka niewiele się namyślając złapała za maślaną bułeczkę i posmarowała ją obficie smołą. No i oczywiście ohydnie się jej odbiło.”

- Jak ja cię strzelę w tę pustą pałę, to ci uszy odpadną! – przerwał mu oburzony Thorn.
 - Przepraszam! – odparł Spinx zasłaniając uszy. – Tylko nie uszy, one mi nie odrosną!
- Ciężka łapa uderzyła w drewniany stół, aż podskoczyły cynowe kubki z grzanym winem.
- No to już bez kawałów! Zachowaj realia i zacznij raz jeszcze!

„Mama bardzo ucieszyła się widząc, że jej ukochana córeczka ma taki apetyt. Dziewczynka niewiele się namyślając złapała za maślaną bułeczkę i posmarowała ją



obficie kremem czekoladowym. Maślana bułeczka i kakao: plus dziesięć punktów energii. Zadowolenie mamy: plus trzy punkty morale.”

„Dziewczynka Zuzia bierze tornister, który jest ciężki od książek i zeszytów. Idzie do szkoły. Doniesienie tornistra do szkoły: minus jeden punkt. Po drodze napotyka sąsiada. Czy mówi mu coś uprzejmego na powitanie?”

- Ciągnij kartę. – ciężka łapa w skórzanej rękawicy nabitej ćwiekami podsunęła pod nozdrza plik wyświechtanych kart.

„Dziecko pokazuje sąsiadowi język.”

- Nareszcie jakaś normalna reakcja. – skwitował Spinx. – Jest coś jeszcze?

„Sąsiad łapie ją za ucho i tarmosi. SSS.”

- Hej, pobudka! Sprawdzenie Swojego Szczęścia, kostki w ruch! – po stole potoczyły się trzy kamienne kostki.

- Ile? – Greel nachylił się nad stołem.

- Cztery! Ty idź z tymi swoimi ślepiami do znachora! – oburzył się właściciel nabitej ćwiekami rękawicy. – I pomyśleć, że on jest lotnikiem...!

„Jeżeli SSS mniej niż sześć, dziecko bardzo bolało. Minus dwa punkty z wytrzymałości. Zuzia idzie dalej napotykając dwie koleżanki z klasy.”

„Dziewczynki bardzo się ucieszyły. Wszystkie plus jeden punkt radości. Czy koleżanki zaczną się naśmiewać z kucyków naszej małej bohaterki?”

- Kartę plotek proszę. – huknęło tubalnie ponad drewnianym stołem. – Dziękuję.

„Rozmowa skupiła się na nowym piórniku Alinki, który dostała na urodziny. Wszystkie bardzo się cieszą, a Alinka częstuje koleżanki...”



- Czym częstuje? – ponaglił Thorn. – No, wymyśl coś!
 - Yyyyyyy... bananem? – ponownie huknęło nad stołem.
 - A co to jest „banan”? – zaskrzeczał Spinx.
 - Nie wiem. – doleciało spod sufitu. – Ale fajnie i soczyście brzmi. Podobnie jak „baran”.
- W blasku świecy załśniły czerwone ślepia.
- Super! Grajmy dalej!

„Jeżeli Zuzia ma jakieś nowe plotki, powinna się teraz nimi podzielić. Wtedy: atrakcyjność plus dwa punkty. Jeżeli nie, idą do szkoły.”

- Mam w tornistrze jedną plotkę. – przyznał Spinx. – Szkoda mi jej teraz marnować...
- Ale wzrosną ci parametry potrzebne na przerwie międzylekcyjnej!
- Dobra, plus dwa punkty atrakcyjności.

„Dzieci wchodzą do szkoły. W progu stoi wąsaty woźny i ponagla. Zaraz będzie dzwonek. Czy dzieci zdążą do klasy przed dzwonkiem? SSS.”

- I znów po drewnianym stole potoczyły się kamienne kości.
- Siedem. – padło z drugiego końca stołu.

„Wszyscy zdążyli do klasy, zanim przyszła pani. Jeżeli atrakcyjność Zuzi wynosi więcej niż pięć, będzie siedzieć w ławce z Alinką.”

- Jaki tam mamy parametr? – Greel nachylił się nad kartą postaci.
 - Siedem.
 - Bardzo ładna liczba! Siedzimy z Alinką! – odetchnął Thorn.
- Jego towarzysz zaczął intensywnie machać kartą postaci.
- No co?!



- Z pyska ci jedzie! – odparł spokojnie. – Ile razy mam cię prosić, żeby ryby nie zagryzać czosnkiem!

- Czepiasz się! Skup się lepiej na grze. Poza tym czosnek jest bardzo zdrowy.

„Do klasy wchodzi pani z dziennikiem. Zasiada za biurkiem i otwiera dziennik. Będzie czytać listę obecności. Wyczytuje wszystkie dzieci, między innymi Zuzię. Po chwili zapowiada, że będzie pytać z poprzedniej lekcji. Wywołuje do tablicy naszą dziewczynkę.”

- Zjadłoby się kawałek kredy! – rozmarzył się głos spod sufitu.

- Odbiło ci już do reszty! – oburzył się Thorn. – Znając ciebie, to zjadłbyś także panią, dzieci i połowę tablicy.

- Kreda świetnie wybiela zęby! – zaooponował obrażony. – Dobra, kontynuujemy!

„Zadanie z matematyki jest proste i dotyczy ilości jabłek w koszyku, ale dziecko zamiast się uczyć, bawiło się wczoraj do wieczora ze swoim ukochanym pieskiem. Czy Zuzia rozwiąże zadanie? SSS.”

Znowu kamienne kostki potoczyły się po grubych deskach stołu.

- Sześć. – mruknął Spinx.

„Jeżeli wypadło mniej niż osiem, dziewczynka nie zna odpowiedzi i w efekcie dostaje pałę.”

- Ty, co to znaczy „dostać pałę”? – zapytał tubalny głos.

- Chyba nie to samo, co „dostać pałą”? – Thorn nerwowo przewracał stronicę przewodnika po świecie małej Zuzi. – Choroba, nic tu na ten temat nie ma...

Wtem drzwi do komnaty rozwarły się z hukiem. Do środka wpadł sędziwy człek w powłóczystej szacie z nałożoną nań zbroją. Jego siwa broda skrzyła się tysiącem refleksów od trzymanej na wysokości głowy pochodni.

- Orki znowu atakują! – oznajmił starzec. – Wy znowu zajmujecie się głupotami?



- Psia ich mać! – zaklął ohydnie korpulentny, brodaty rudzielec naciągając skórzany hełm z rogami. - A tak fajnie się zapowiadało!

- Thorn, jak na krasnoluda, to muszę przyznać, że jesteś potwornie marudny! Serdeczny uśmiech zagościł ponad rudą brodą. Brudna, gruba rękawica nabijana ćwiekami pochwyciła topór o dwóch ostrzach.

- U nas to rodzinne!

- Jakie rozkazy? – zapytał potwornie chudy elf z nadszarpniętym lewym uchem. Starzec wykonał spiralny ruch ręką rzucając przez płomień pochodni magiczny proszek. Drobiniki tajemniczego specyfiku zaśniły, niczym tysiące malusieńkich gwiazdek, by utworzyć nad stołem świetlisty, trójwymiarowy obraz twierdzy Gharab.

- Łucznicza drużyna elfów obsadzi wschodnią wieżę i mury wokół niej. Pamiętaj, walić ile wlezie! – starzec wskazał na jedną z wież zamku. Po chwili skupił uwagę na bramie. – Thorn i jego kompani zluzują niziołki na bramie. Ich wartość bojowa jest znikoma.

- A moi bracia? – z mroku wyłonił się smoczy łeb, który łagodnie spłynął ponad stół.

- Startujecie z dziedzińca wewnętrznego pod osłoną muru stajni i krótkimi wypadami nękacie obsługę machin oblężniczych z powietrza. – wyjaśnił czarodziej. – Nadal stosują maszyny z drewna, poprzednie ataki nic ich nie nauczyły!

Kompani wybiegli z komnaty na kręte schody.

- I miejcie baczenie na podkopy! – doleciało z pokoju, który właśnie opuścili. – Wróż Drzewój mówi, że niebezpiecznie drży ziemia pod warownią!

Przyjaciele wypadli na dziedziniec.

- To co? – warknął Greel. – Po wszystkim kończymy sesję?

- Mowa! – krasnolud posłał mu przyjacielskiego kuksańca. – Mów, co chcesz, ale życie naszej małej Zuzi wydaje się być o wiele bardziej fascynujące, niż te nasze nieustające bitwy, wszechobecna magia i cały rój dziwnych stworów.

Pokraczny, chudy elf w podartym, zielonym kaftanie uśmiechnął się tylko gorzko. Niestety, czekała go szara rzeczywistość. Rzeczywistość jego świata.

- Do zobaczenia później! – rzucił za siebie i wbiegł na schody. – Niech potęga Gharabu wam sprzyja!



DNIÓWKA W PARKU

„Drill dostanie zawału!” – pomyślał Mond podbijając karty.

* * *

Mrok ogarniał stuletnie dęby zarastające królewski trakt. Robur, rycerz księcia Maiwalda, właśnie podążał ku swemu przeznaczeniu. Przystanął, by dobrze obejrzeć miejsce swojej próby. Próby odwagi, próby męstwa i wierności księstwu. Wiedział, że tylko w ten sposób udowodni, że godzien jest na tarczy dźwigać herb Maiwaldu. On, Robur, najmłodszy z rodu Flug-zige. Jego bracia pękną z zazdrości, ojciec zaś, po raz pierwszy za jego przyczyną, powód miał będzie do wielkiej dumy.

Pogładził po klindze swój wierny, wysadzany czarnymi kamieniami miecz, zlustrował okolicę i ruszył pod górę. Trakt wpadał między dwa potężne drzewa, niczym w bramę innego świata. Świata mroku i tajemnic skrywających się za każdym zakrętem drogi. Jego drogi. Drogi do chwały. Drogi bez odwrotu.

Przepełniony niepewnością wkroczył w opiekuńczy cień majestatycznych drzew i choć dawały one przyjemny ciału chłód, jego lniana koszula obciążona kolczugą lepiała się niemiłosiernie do pleców. Ze strachu. Robur minął kolejny, gruby pień. Jego oczy powoli przywykły do mroku panującego w zaklętym lesie. Wiedział, że teraz musi być ostrożny w dwójnasób, bo zgodnie z przepowiednią, miał w tym lesie spotkać bestię, której pokonanie miało mu zapewnić wieczną chwałę. Ale mogło to też oznaczać rychły grób, a do tego nie mógł dopuścić. Nie teraz, po trzech miesiącach budowania własnej legendy!

Poruszał się powoli, systematycznie, starając się przeszyć wzrokiem zarośla. Do jego uszu dobiegł odgłos wartkiego strumienia i tam właśnie postanowił skierować swoje kroki. Wiedział, że strumień da mu przewagę. Zagłuszy jego kroki i chrzęst zbroi. Na dodatek da pewność, że bestia się tam pojawi – nawet najbardziej krwiożercze stwory tego świata muszą kiedyś pić.

Dotarł do strumienia i postanowił wybrać miejsce zasadzki. W oddali majaczył niewielki, wysoki raptem na trzy stopy, wodospad. Idealne miejsce! Rycerz dotarł



właśnie do ostatniego krzewu oddzielającego go od niewielkiej polanki przy wodospadzie, gdy na kamieniu ujrzał siedzącą tyłem do niego bestię. Potwór właśnie oblizywał zakrwawione szpony, jednakże ciała nieszczęsnej ofiary już nie było. Najwidoczniej zostało pożarte! Nie było w tym nic dziwnego, wszak bestia miała aż trzy głowy.

- Na chwałę Maiwaldu! – ryknął Robur wypadając z zarośli z mieczem uniesionym do cięcia.

Bestia odwróciła głowę w kierunku śmiałka ukazując gadzie oblicze, lecz zanim zdołała się poderwać do ataku, powietrze przeciął świst stali i lewa smocza głowa potoczyła się po rzecznych kamieniach.

Potwór zawył przeraźliwie i zerwał się ... do ucieczki. W dwie sekundy później już go nie było. O jego bytności nad strumieniem świadczyła tylko wielka plama krwi oraz odcięta, gadzia głowa.

Rycerz uniósł z odrazą odcięty łeb i wydał okrzyk triumfu.

- Wiem, że w miejsce odciętej odrosną ci kolejne trzy! – krzyczał . – Ale wiedz, poczwaro, że Robur z domu Flug-zige zawsze jest gotów, by ci je odciąć!

* * *

Palatyn Frian przedzierał się przez gąszcz wzdłuż gościńca. Postanowił zdobyć nieśmiertelną chwałę jako zamaskowany człek w zielonej bluzie, który ratuje z opresji podróżnych, łupi pazernych bogaczy i wspiera biedaków. Wieśniacy, co prawda, nie byli aż tak skorzy do chwalenia jego hojności i wspaniałomyślności, jak do przyjmowania darów, przeto wieczorami przeobrażał się w barda śpiewającego w wiejskich gospodach ballady o wspaniałych czynach tajemniczego wybawcy w zielonym kapturze.

Frian co jakiś czas przystawał by zlustrować okolicę i wysledzić ewentualną zasadzkę leśnych rabusiów. Wtedy wystarczyło poczekać w ukryciu na nadjeżdżających kupców, a kiedy ci byli atakowani przez zbójców, dzielny palatyn ratował ich z opresji. Proste!



Jednakże tym razem zamaskowany człowiek w zielonym kapturze postanowił skorzystać z planu awaryjnego. Oto gościńcem podążał młokos z białogłową. Para powoli przybliżała się do miejsca, gdzie zamaskowany bohater znalazł kryjówkę przed wścibskim wzrokiem osób trzecich. Chłopak wyraźnie zalecał się do młodej damy, która z zaczerwienionym licem słuchała poezji młodzieńca. Zakochani minęli kryjówkę palatyna, który postanowił podążyć za nimi wyczekując stosownej okazji. Nie musiał długo czekać.

Zupełnie nagle wypadł z zarośli zakrwawiony potwór. Choć bestia miała miast trzeciej głowy krwawy kikut, szpony umazane w szkarłacie krwi i widać było, że stoczyła dopiero zaciętą walkę, ruszyła na oślep gościńcem, wprost na zakochaną parę.

- Argh! – ryknął potwór.

Chłopak zemdlął z wrażenia prosto w ramiona swej wybranki, która zamiast uciekać przed szarżującym potworem, pochwyciła młodzieńca.

Frian tylko wyczekiwał takiej okazji! Wyskoczył z zarośli i z głośnym, bojowym okrzykiem „Hu-hu!” stanął do walki. Błyskawicznie napiął swój niewielki, galeicki łuk i jeszcze szybciej posłał w kierunku smoka tuzin strzał. Jak zliczył, przynajmniej siedem dosięgło celu.

Bestia rzuciła się ze skowytem w zarośla, by więcej się nie pokazać.

- Piękna pani! – huknął palatyn do zaskoczonej dziewczyny. – Wiedz, że wyratował cię zamaskowany bohater w zielonym kapturze!

Po czym skłonił się dworsko i zniknął w zaroślach.

Dziewczyna zaczęła okładać po pysku nadal nieprzytomnego chłopaka.

* * *

Drua z Gildii Złodziei przycupnęła za wiekowym głazem. Na mchu porastającym kamień były świeże ślady krwi i choć wokół pachniało papryką, dziewczyna z góry założyła, że ktoś ranny musiał szukać schronienia w tym samym miejscu nie dalej, jak pacierz temu.

Nic to! To nie jej walka i nie jej zmartwienie. Mistrz dał zadanie: zdobyć najbardziej niezwykły artefakt ze Świątyni i tylko to się liczyło.



Szybko i zwinnie niczym kot, złodziejka przemykała od pnia do pnia, od głazu do głazu, od krzaka do krzaka. Nikt nie mógł jej przecież złapać na kradzieży!

Za kolejnym głazem natrafiła na niespotykaną dotąd przeszkodę: głęboki rów. Ale czy to aby na pewno miało zniechęcić najlepszą adeptkę Gildii Złodziejskiej?

Dziewczyna zarzuciła na gałąź rosnącego tuż nad rowem drzewa niewielką kotwiczkę z doczepioną linką, sprawdziła, czy aby linka dobrze trzyma i chwilę potem z gracją przefrunęła nad głębokim rowem. Wylądowała zręcznie, niczym kocica, poprawiła fryzurę i pomknęła w kierunku mającej między drzewami masywnej budowli. Chwilę potem wspięła się po kolumnie wwyż, chwyciła za stalowe stężenie kapiteli i zręcznym wymykiem stanęła na gzymsie fryzu czołowego, tuż nad kolumnadą. Dwadzieścia metrów biegu, długi sus ponad najeżoną bramą i tylko dwa kroki do okna świątyni, w którym dziewczyna zniknęła chwilę potem.

Wewnątrz panowała ciemność. W obszernej komnacie roznosiło się głośnie sapanie, znak nieomylny, że bestia czuwała na posterunku pilnując ołtarza z największym skarbem świątyni.

Niemalże po omacku Drua dotarła do schodów ołtarza. W bladym blasku odbitego światła z potężnego lustra tuż nad ołtarzem, dostrzegła Smoczy Talizman. Jest! Nareszcie! Z bijącym sercem sięgnęła po kryształowe naczynie skrywające skarb, gdy nagle potrącona łokciem niewielka flaszeczka z pluskiem wpadła do chrzcielnicy po prawej stronie ołtarza.

Z mroku wydobył się głośny pomruk.

Dziewczyna złapała talizman i rzuciła się do panicznej ucieczki.

- Tylko nie to!!! – ryknęła ciemność, ale Drua już nabrała rozpędu i wyskoczyła oknem na dziedziniec przed świątynią.

Chwilę później zniknęła w leśnym gąszczu.

* * *

Tuż przed bramą z napisem PARK FANTASY siedział portier w kostiumie knechta. Szychta zbliżała się ku końcowi, ostatni gracze opuścili park z kompletem punktów w swoich kartach postaci. Mond zastanawiał się, co powiedzieć Drillowi,



który jak zwykle przychodził po przyjaciela po zakończonej dniówce. Pomyślnej dniówce. Ale dziś?

- Szajs i w ogóle gówno! – ryknął dwugłowy smok wylaniając się zza kępy jałowca.

- Taaak. – przyznał knecht. – Widziałem trofea.

Potężne zęby zazgrzytały ze złości w smoczej paszczy.

- Nawet nie próbuj interpretować wydarzeń!

Mond ściągnął hełm i podrapał się po potylicy.

- Czy ty wiesz, jaki zgrzyt tu miałem z wypisaniem punktów za obciętą głowę? Tego nie ma w żadnym wykazie! A o reakcję kierownika zmiany to nawet nie pytaj!

Stwór przysiadł na ogonie i chwilę pomajstrował za kolczastym grzebieniem. Po chwili odpiął gumowy kikut szyi, smutną pozostałość po sztucznej, smoczej głowie.

- Ech, szczęście, że trafił w atrapę! – westchnął. – Wyobraź sobie, przerwa na lunch. Biorę kanapkę z baranburgerem, doprawiam i mi ten cholerny korek od ketchupu wypada. Stary, uświadom sobie jak niemowlę! No to idę się obmyć do strumienia, a tu nagle z krzaków wypada jakiś palant z tym swoim pogrzebaczem i ciach!... No to dałem drapak.

- A swoją drogą, to faktycznie miałeś szczęście!

Drill podrapał się pod lewym skrzydłem.

- Ciekaw jestem, kto tu wpuścił tego przygłupa z prawdziwym mieczem?

Knecht wzruszył ramionami.

- Na mnie nie patrz. Objąłem bramę o dwunastej. Musiał przyjść wcześniej.

- Trzeba będzie powiadomić dyra, niech usunie z folderu reklamowego te bzdury o odrastających głowach, bo kiedyś naprawdę stracę łepetynę.

Mond wyciągnął z kieszeni czekoladowego batona i podsunął koledze pod nos.

- Mmm?

- Dzięki, ale mam potworną zgagę. – gestem ręki podziękował smok. – Z tych nerwów kwasy mi aż ruszyły. Jak wiałem przed tym napaleńcem, to najpierw wpadłem na zakochaną parkę, a potem jakiś popaprany Rabin Hood zapakował mi tuzin szpilek w tyłek...

- Robin. – poprawił knecht i władował sobie połowę batona w usta.



- Niech ci będzie! – zgodził się smok odpinając drugą z trzech głów. – Cholera, muszę jutro powiedzieć magazynierowi, żeby nie dawał mi tych skrzydełek. Strasznie piją pod pachami.

- Słyszałem, że miałeś zgrzyt w punkcie opatrunkowym...

Drill nieco się zaczerwienił.

- Kiedy felczer usuwał mi ostatnią strzałę z dupy, do punktu wpadła jakaś dziunia w długiej sukni taszcząc na rękach nieprzytomnego amanta. A jak mnie zobaczyła, rzuciła nieszczęśnika na glebę, wyrwała nogę z krzesła i zaczęła mnie okładać. Dobrze, że po sztucznej łepetynie! No i znowu musiałem zwiewać, ale tym razem to nawet nie wiem, za co oberwałem...

Mond roześmiał się na wspomnienie wcześniejszej opowieści medyka.

- Bo tak wystraszyłeś jej absztyfikanta, że chłopak zemdła! – dodał rechocząc coraz to głośniej. – A do tego puściły mu zwieracze!

- No tak! – pokiwał głową smok. – A niesmak pozostał nam wszystkim. Poszła skarga do dyra?

- Na całe szczęście, nie! – mruknął knecht odpinając misiurkę. – Stawiasz mi drinka, udobruchałem ich ekstra punktami w kartach postaci.

Smok ułożył skrzydła na trawie i zgrabnie je zrolował.

- Nie wiesz jeszcze najgorszego!

- Chyba jednak wiem...

- Nie!...

- Tak!... Ale chętnie usłyszę twoją wersję.

Drill westchnął i usiadł obok swojego pakunku.

- Obolały polazłem do mojej leśnej rezydencji. Padłem na wyro i przyciąłem komara... a tu jakaś durna siksa zakradła mi się do łazienki. Te ludzie, to złośliwy gatunek! Najpierw mi wrzuciła wodę kolońską do muszli klozetowej, a potem ukradła mi szklanę ze sztuczną szczęką!

Mond pokładał się ze śmiechu.

- Dwieście punktów za Smoczy Talizman! – huknął. - Nie mogłeś jej złapać?

Smok zrobił zdziwioną minę.



- W tym kostiumie? – zapytał z niedowierzaniem. – Zresztą gówniara czmychnęła oknem, nim zdążyłem ruszyć się z wyrka!...

- Jest już ósma? – knecht zmienił temat.

- Dwie po. – odparł Drill.

Obaj wstali, brama do PARKU FANTASY zamknęła się z jękiem, zgrzytnął klucz.

- Czas zdjąć te idiotyczne kostiumy. – mruknął knecht i mocno pociągnął swoją twarz za nos, który zrobił się długi, coraz dłuższy, aż wreszcie gumowa maska strzeliła głucho. Mond spojrzał na przyjaciela swoimi czerwonymi źrenicami. Kły w jego paszczy powoli układały się w szczery uśmiech.

- No to do gospody! – zawyrokował Drill. – Stawiam drinka, może chrupniemy po baranie na ostro...?

- Czemu nie? – przyznał drugi smok. – Nie tylko ty miałeś parszywą dniówkę. Myślisz, że całodniowe udawanie człowieka nie jest wyczerpujące?

Oba smoczyska ruszyły leśnym duktem w dół zbocza.

- Musisz przyznać: te dwunożne ssaki to jednak dziwne stworzenia.

- Aha! Cały dzień w biurze, a w wolnej chwili chcą sobie poudawać kogoś innego. I jeszcze za to płacą!

Drill roześmiał się serdecznie.

- A my niby co? Też udajemy kogoś innego!

- Ale to nam za to płacą!

Przyjazne łapsko klepnęło Monda w plecy pokryte opalizującą łuską.

- Stary, ile to uczciwy smok musi się naharować, aby zarobić na pieczonego barana!

To już nie jest ten sam świat, co kiedyś! To już jest świat ludzi...

- I wiesz, co? – gad zarechotał, jak na smoka przystało. – Konar im w okrężnicę!





